

O pańskich wyliczeniach zrobiło się głośno, gdy ukazały się wyniki badań World Inequality Lab (WIL). Sugerują one, że uwzględniając dane o dochodach z kilku źródeł, Polskę charakteryzują najwyższe nierówności spośród państw UE. Czy ma pan przekonanie, że wyniki otrzymane zgodnie z pańską metodologią są porównywalne między krajami, które mają odmienne systemy podatkowe, struktury gospodarek itp.?

Tak, przy konstruowaniu naszych szeregów kierowaliśmy się wytycznymi opracowanymi przez zespół Thomasa Piketty'ego (to właśnie WIL - red.). Zresztą on sam był promotorem doktoratu Filipa Novokmeta, którego częścią są oszacowania dla Polski, obok Chorwacji, Czech, Słowenii i Rosji. Jak już wspomniałem, jednym z najtrudniejszych zadań było uwzględnienie wszystkich cech szczególnych polskiego systemu podatkowego oraz ich zmian tak, żeby nasze oszacowania były porównywalne nie tylko w czasie, ale też pomiędzy krajami. Oczywiście, nie zawsze jest to w pełni możliwe, dlatego przy każdej takiej analizie tworzy się kilka wersji oszacowań. Jednak nawet te najbardziej konserwatywne stawiają Polskę w europejskiej czołówce nierówności.

To, że nierówności dochodowe w Polsce są większe niż np. w Szwecji, nietrudno zrozumieć. Ale dlaczego są wyższe niż w krajach ościennych, które mają podobną historię transformacji?

Tym, co nas wyróżnia na tle innych krajów regionu, jest duże znaczenie krajowego sektora gospodarki. Mamy relatywnie dużo rodzimych przedsiębiorstw. Zagraniczne firmy i inwestorzy wytwarzają w Polsce 35 proc. wartości dodanej, podczas gdy w Czechach 42 proc., a na Węgrzech 52 proc.

Jakie to ma znaczenie dla nierówności?

Wzrost gospodarczy ma większe znaczenie dla sytuacji dochodowej przedsiębiorców niż zwykłych pracowników. To oznacza, że nierówności w Polsce w większym stopniu niż gdzie indziej zależą od koniunktury. Tymczasem nasz kraj doświadczył największego wzrostu gospodarczego spośród państw wyszehradzkich. Ale przyczyn stosunkowo wysokich nierówności w Polsce może być więcej, potrzebujemy więcej badań, by w pełni je poznać.

Pewne tropy można znaleźć w opublikowanych niedawno przez Ministerstwo Finansów danych o rozkładzie dochodów płatników PIT. Wynika z nich, że w 2017 r. wystarczyło zarabiać 8,1 tys. zł brutto miesięcznie, aby znaleźć się w 5 proc. podatników o najwyższych dochodach. To nie są astronomiczne kwoty. Wydaje się więc, że za dużą część zróżnicowania dochodów w całym społeczeństwie odpowiada kilka procent najbogatszych, bo w tej grupie rozbieżności są naprawdę duże. I są to głównie przedsiębiorcy. Część komentatorów wskazywała w tym kontekście, że w kraju na dorobku wzrost nierówności związany z bogaceniem się przedsiębiorców trudno uznać za zjawisko negatywne. Czy te dane wpłynęły jakoś na pańską ocenę nierówności?

Teoria Kuzneta, wedle której wraz z rozwojem kraju nierówności najpierw rosną, a potem zaczynają maleć, dość dobrze pasowała do społeczeństw z początku XX w., ale ma słabe zastosowanie do dzisiejszego świata. Przez ostatnie dwie dekady nasze rozumienie nierówności i wiedza empiryczna poszły bardzo do przodu i obecnie uważa się, że na wzrost nierówności największy wpływ mają instytucje, polityka społeczno-gospodarcza, globalizacja i postęp technologiczny. Dla przykładu, wiadomo, że przejście z komunizmu do kapitalizmu powoduje wzrost nierówności (bo uwalniamy płace i prywatyzujemy kapitał), ale jego skala zależy od krajowych uwarunkowań i instytucji. Czechy, Węgry i Chorwacja również wyszły z komunizmu, ale nie doświadczyły takich nierówności jak Polska. Z drugiej strony Rosja doświadczyła ich znacznie bardziej niż my. W tym kontekście wzrost nierówności w Polsce nie jest czymś normalnym i należy go badać, żeby zrozumieć jego przyczyny i konsekwencje.

Zadam to samo pytanie inaczej. W świetle danych resortu finansów 1 proc. najlepiej zarabiających indywidualnych przedsiębiorców uzyskuje 24,5 proc. wszystkich dochodów z działalności gospodarczej objętej PIT. I to jest istotne źródło nierówności dochodowych wśród płatników PIT ogółem, bo w przypadku umów o pracę 1 proc.

najbogatszych kontroluje niespełna 8 proc. dochodów. Czy to, że nierówności są szczególnie duże wśród przedsiębiorców, nie jest czynnikiem łagodzącym ocenę tego zjawiska?

Dochód z działalności gospodarczej (kapitału) jest zazwyczaj znacznie bardziej skoncentrowany wśród najbogatszych niż dochód z pracy. Jest to zjawisko obserwowane w większości krajów i okresów, nie tylko w Polsce. W tym sensie nie ma w tych danych nic nadzwyczajnego. Ale z drugiej strony prawdą jest, że w Polsce formuła samozatrudnienia jest nadużywana w celach optymalizacji podatkowej. Odnosi się to tylko do dość wysokich dochodów, bo stosowanie liniowego PIT nie opłaca się przy niższych dochodach. Klasyycznym przykładem są tzw. kontrakty menedżerskie, w ramach których osoby będące zwykłymi pracownikami firm podają się za przedsiębiorców i płacą bardzo niskie podatki. To jest jedna z głównych patologii polskiego systemu podatkowego, która przyczynia się do tego, że biedni w Polsce są relatywnie bardziej opodatkowani niż bogaci. Moim zdaniem zamiast zwiększać kontrolę nad tym, kto rejestruje się jako przedsiębiorca (to aluzja do tzw. testu przedsiębiorcy, który planował wprowadzić rząd - red.), powinniśmy się zastanowić nad zniesieniem podatku liniowego.

Co wiemy o nierównościach majątkowych?

Ciągle stosunkowo niewiele. Nasza wiedza pochodzi głównie z sondażu przeprowadzonego przez NBP w 2016 r. Wynika z niego, że jesteśmy w Europie krajem o umiarkowanych nierównościach majątkowych. To oczywiście dobra wiadomość, bo rozkład majątku ma bardzo duże znaczenie dla równości szans w społeczeństwie. Powinniśmy się jednak wstrzymać z nadmiernym optymizmem, bo w dłuższym okresie nierówności dochodowe tworzą nierówności majątkowe, więc spodziewałbym się pogorszenia sytuacji w przyszłości. Nie możemy również zapominać o tym, że - podobnie jak w przypadku dochodów - sondaże zaniżają majątek najbogatszych. Z niecierpliwością czekam na wyniki prac Michała Brzezińskiego i Katarzyny Sałach z UW, którzy poprawiają dane sondażowe o informacje z listy najbogatszych „Wprost”.

Czy w świetle tego, o czym mówiliśmy wcześniej, nierówności dochodowe albo majątkowe w Polsce należy uznać za nadmierne?

Uważam, że powinniśmy zacząć traktować nierówności

jako istotny problem polskiego społeczeństwa i starać się zrozumieć, jak przekładają się one na równość szans. Najważniejszy element, równość szans edukacyjnych, niestety nie skłania do optymizmu. Według danych OECD z 2015 r. prawdopodobieństwo, że osoba urodzona między 1971 a 1990 r., której rodzice mieli wykształcenie podstawowe, uzyskała wykształcenie wyższe, jest 2,5-krotnie mniejsze niż średnio w społeczeństwie. Dla porównania, w Finlandii taka osoba ma tylko 1,2-krotnie mniejsze szanse niż przeciętny Fin. Średnio w krajach OECD ten wskaźnik wynosi 1,8. Z kolei osoba, której przynajmniej jeden rodzic ma wykształcenie wyższe, ma w Polsce ponaddwukrotnie większe szanse na wykształcenie wyższe niż typowy Polak. Średnia dla OECD to 1,7. Czyli w tym świetle mamy stosunkowo duże zróżnicowanie szans edukacyjnych. Likwidacja gimnazjów, która wyrównywała szanse edukacyjne na terenach wiejskich, może jeszcze pogorszyć sytuację.

Transformacja gospodarcza w Polsce byłaby większym sukcesem, gdyby jej autorzy starali się zapobiegać wzrostowi nierówności?

Mimo wszystkiego, co wiemy o nierównościach w Polsce, transformacja w dużym stopniu ochroniła klasę niższą. Zwłaszcza gdy porównamy się np. z Rosją, gdzie w wyniku złe przeprowadzonych reform społecznych (np. niewaloryzowanie emerytur o inflację) pomiędzy 1991 a 1996 r. udział 50 proc. najbiedniejszych osób w dochodzie spadł z 30 do zaledwie 9 proc.

Chodzi mi o to, czy przy niższych nierównościach polska gospodarka rozwijałaby się jeszcze bardziej dynamicznie, byłaby bardziej odporna na wstrząsy, szybciej udało się zlikwidować ubóstwo?

Nie wiem. Ale w tej debacie powinniśmy poszerzyć nasze horyzonty i zastanowić się, czy maksymalizacja przeciętnego wzrostu dochodu jest naszym jedynym celem, czy może również powinniśmy dbać o to, co z tego wzrostu mają Polacy? Być może wzrost, z którego korzyści odczuwałaby większa liczba Polaków, uczyniłby nasze społeczeństwo bardziej szczęśliwym.

Jesteśmy chyba na dobrej drodze. Z wyliczeń WIL wynika, że po 2015 r. nierówności w Polsce malały. W 2017 r. udział 10 proc. najlepiej zarabiających Polaków w ogóle dochodów wynosił około 38 proc., w porównaniu do ponad 40 proc. dwa lata wcześniej.

Szacunki moje i Filipa kończą się na 2015 r. Przypuszczam, że szacunki dla kolejnych lat są autorstwa francuskich autorów z WIL, którzy mogli użyć danych sondażowych EU-SILC skorygowanych o ekstrapolowane dane podatkowe z 2015 roku. Te wyliczenia mogą podlegać niewielkim korektom w przyszłości. Ale wydaje mi się, że spadek albo choćby wyhamowanie wzrostu nierówności dochodowych w minionych czterech latach to najbardziej prawdopodobny scenariusz.

Dlaczego? Ze względu na zbieżność czasową łatwo powiązać spadek nierówności z programem 500+, ale wyliczenia pańskie i WIL - jeśli dobrze rozumiem - dotyczą dochodów przed opodatkowaniem i transferami społecznymi.

Dla 90 proc. ludności dane te dotyczą dochodu przed opodatkowaniem, ale po transferach. Badacze WIL korzystają w tym przypadku z ankietowych badań dochodów (EU-SILC), w których respondenci powinni uwzględnić informacje o 500+. Rozkład dochodów w ramach ostatniego decyła (10 proc. najlepiej zarabiających) jest skorygowany o dane z baz PIT. Tu dochody z 500+ nie są uwzględnione, ale też w przypadku zamożnych ten dochód ma minimalne znaczenie. Krótko mówiąc, spadek nierówności po 2015 można tłumaczyć 500+. Dane GUS sugerują również, że program ten wyraźnie ograniczył zakres ubóstwa. To może być oczywiście przypadek, ale wygląda na to, że 500+ pomógł najbiedniejszym. Przy takiej interpretacji jest to program dobry i przydatny w walce z nierównościami. Ale potrzebujemy więcej badań, żeby wyjść poza spekulacje.

Czy skoro wzrost nierówności ustął, a być może nawet zaczęły one maleć, powinniśmy podejmować jakieś starania na rzecz ich ograniczenia? A jeśli tak, to jakie? Powinniśmy koncentrować się raczej na źródłach powstawania nierówności dochodowych czy na ich ograniczeniu na drodze podatków i transferów społecznych?

Walka z nierównościami wymaga działań zarówno u źródła, na przykład w odniesieniu do równości szans, jak i redystrybucji już osiągniętego dochodu. Te polityki dopełniają się nawzajem. Przykładem może być sytuacja pracowników w Polsce, która moim zdaniem jest kluczowym obszarem wymagającym zmian. Obecnie wśród najbiedniejszych w Polsce znajdujemy nie emerytów, tylko osoby pracujące na umowach cywilnoprawnych (tzw. śmieciowych). Wynika to z dość liberalnego prawa pracy i bardzo słabej kontroli warunków zatrudnienia. Co gorsza, jak niedawno pokazał Jakub Sawulski (ekonomista z Instytutu Badań Strukturalnych - red.) i Ministerstwo Finansów, te osoby stykają się z najwyższą efektywną stopą opodatkowania! To oznacza, że polski system podatkowy jest regresywny i biedny doклада do budżetu relatywnie więcej niż bogaty. W tym przypadku walka z nierównościami wymaga zarówno zmian w ustawodawstwie i wykonawstwie prawa pracy, jak i likwidacji patologii podatkowych. Moim zdaniem powinniśmy uregulować nietradycyjne formy zatrudnienia oraz radykalnie poprawić Państwową Inspekcję Pracy. Silne i zreformowane związki zawodowe mogą również przywrócić równowagę pomiędzy siłą negocjacyjną pracodawców i siłą pracowników. To o tyle ważne, że międzynarodowe korporacje mają coraz większą przewagę negocjacyjną nie tylko nad pracownikami, ale również nad rządami państw. Ważna jest również walka z dyskryminacją kobiet, rozumianą nie tylko jako luka płacowa, ale również jako luka w możliwości awansu na pozycje menedżerskie i przywódcze. ©

—rozmawiał Grzegorz Siemionczyk

Dr Paweł Bukowski jest ekonomistą na Centre for Economic Performance, London School of Economics, badaczem nierówności społecznych i członkiem grupy eksperckiej Dobrobyt na Pokolenia